

NA TROPIE

ROK V. **NR. 1.**

Od Redakcji.

Rok czasu nas dzieli od chwili, kiedy „Na Tropie" zmieniło się w dwutygodnik. Zmiana ta wyglądała w ten sposób, że obok normalnego, 16-stronnicowego numeru, drugi raz w miesiącu zaczęły się ukazywać skromne numery, zawierające jedynie 4 strony. Bardzo biednie wyglądał ten „mały" numer i trudno się dziwić, że był niejednokrotnie przedmiotem krytyki i ubolewania.

W czerwcu jednak objętość małego numeru wzrosła o 4 nowe strony, z których dwie specjalnie miały być poświęcone sportom wodnym i ich propagandzie. Mały numer zyskał na tem ogromnie, ale wielu czytelników nie okazało zrozumienia dla jego „wodnego" charakteru i znów popłynęły do Redakcji listy z krytyką. „Jeszcze się taki nie urodził, coby wszystkim dogodził".

Źlebym jednak czynił, gdybym wyrzucał te wymagania czytelnikom „Na Tropie". Im to bowiem nasze pismo zawdzięcza swój rozwój, jaki bije z kartek ostatniego rocznika. Cały ubiegły rok „Na Tropie" posiadało poparcie coraz liczniejszych rzesz swoich prenumeratorów, to też do nich należy zasługa doprowadzenia pisma do takiego rozkwitu.

Ostatni rok przyniósł przedewszystkiem znaczne wzbogacenie treści. Wprowadzone najpierw powieści, potem tak interesujący dział wodny i tak świetny wprost dział zuchowy, rozwijające się z czasem artykuły techniczne, i materjały metodyczne, setki wiadomości gromadzonych w kraju i zagranicą, doskonała strona ilustracyjna pisma — przy stałym kierunku ideowym, utrzymywanym przy pomocy gawęd, które w ostatnich numerach pochodziły od naczelnych osobistości, jak Przewodniczącego Z. H. P., Naczelniczki i Naczelnika G. K. i Naczelnego Kapelana — to wszystko złożyło się na prawdziwą wartość „Na Tropie". O jego zaś żywotności świadczą dwa specjalne wydawnictwa, a to: „Na Tropie w Pradze" i „Bucze".

Tego rozwoju nigdyby jednak „Na Tropie" nie osiągnęło, gdyby każdy jego wysiłek, każda innowacja nie spotykała się ze szczerym oddźwiękiem wśród szerokich mas harcerskich, gdyby po każdym numerze nie płynęła do Redakcji w listach, kartkach i głosach — fala serdecznej sympatji dla pisma, gdyby wreszcie czytelnicy nie wyrażali swego przywiązania do „Na Tropie" tak regularnem płaceniem swoich abonamentowych należności!

Cóż nam przyniesie rok następny? Życzymy sobie przedewszystkiem tej samej życzliwości czytelników (pomnożonej oczywiście przez dwa razy większą ich liczbę). Aby ich do tego zachęcić, Redakcja obmyśla różne ulepszenia i urozmaicenia pisma, o których lepiej przedwcześnie nie mówić, bo nużby się nie udały! Pierwszą zmianą, jaką nasi Czytelnicy zauważą, będzie zrównoważenie obu numerów dwutygodnika. Dawniej jeden z nich liczył 8 stron, drugi zaś 16. Obecnie oba będą miały po 12 stron, co w sumie przyniesie miesięcznie tę samą ilość stron, tylko równomiernie rozłożoną na oba numery.

Rok bieżący przyniesie Harcerstwu wiele ciekawych przedsięwzięć i wypadków, wiele wydarzeń i przeżyć. „Na Tropie" będzie ich odbiciem. A prócz tego będzie starało się zaspokoić wszystkie potrzeby swoich czytelników, jakie na łamach pisma zaspokojone być mogą. Oto nasze wytyczne na rok 1932.

Czy wywiążemy się ze swego zadania? Pokaże to czas, a Wy osądzicie!

Ze świata skautowego.



Skauci szkoccy na ćwiczeniach.

DRUŻYNA w FIDŻI ISLAND istnieje przy misji katolickiej i liczy 40 członkiń. Mieszkanki Fidżi są bardzo wesołe i skore do tańca. Stąd na zbiórkach dużo śpiewają i pieśni swe ilustrują tańcem. Przyzwyczajone do długiego stroju narodowego noszą wprawdzie mundurki na wzór angielski, ale bardzo długie. Skautki z Fidżi mają doskonałą pamięć i świetnie sygnalizują. (HM.)

ZLOT RUMUŃSKI, o którym pisaliśmy w poprzednich numerach, odbędzie się w miejscowości Dumbrawa Sibiului.

O NAS ZAGRANICĄ. „Skaut Junak" z grudnia przynosi wiadomości o międzynarodowym zlocie skautów wodnych w Polsce. Z tego samego numeru dowiadujemy się, że Naczelnictwo czeskie, które posiada jedynie 120 mtr. filmu ze Zlotu Praskiego, będzie się starało o wypożyczenie filmu polskiego. W sprawozdaniu z I. Zlotu st. skautów w Kandersteg, wydanem w Międzynar. Biurze skautowem w Londynie, a obejmującem 64 strony. Polsce poświęcono stron 8. Przedrukowano mianowicie w całości rozdawaną na Zlocie broszurkę dha Zawodzkiego o starszem harcerstwie w Polsce.

JAMBOREE W GOEDOELLOE będą również mogły zwiedzać skautki. W tym celu kierownictwo Zlotu porozumiało się już z żeńską organizacją węgierską, która przygotuje kwatery dla instruktorek przybywających z zagranicy. Kwatery te będą w Budapeszcie, skąd skautki będą mogły na miejsce zlotu dojeżdżać tramwajem.

NARODOWY CHARAKTER poszczególnych obozów jamborowych ma być jak najwybitniej podkreślony. W tym celu kierownictwo Jamboree zwróciło się do wszystkich organizacyj z prośbą, aby w swych przygotowaniach uwzględniły to i pokazały w swych obozach z jednej strony charakterystyczną sztukę narodową, a z drugiej swoiste cechy techniki skautowej.

SKAUTKI RUMUŃSKIE zorganizowane są w Wielki Legjon, który dzieli się na kohorty, te zaś rozpadają się na centurje. Na czele Wielkiego Legjonu stoi siostra króla Karola, ks. Ileana. Bierze ona czynny udział w pracach Legjonu. Wytycznemi pracy skautek rumuńskich na rok 1932 są: doskonalenie się duchowe i techniczne, oraz silny wzrost liczebny. (TW)

RUCH ROVER-SCOUT w Rumunji rozwija się wybitnie po Zlocie w Kandersteg. Komenda uznała za obowiązujący angielski regulamin st.-skautów (rower), jako już wypróbowany. Ruch starszo-harc. w Rumunji ma dać podstawy do reorganizacji całego związku, który po okresie kryzysu wszedł już na drogę wybitnego rozwoju. (TW.)

BLISKO 200 NOWYCH DRUŻYN powstało dotychczas w Czechosłowacji po Obozach Skautów Słowiańskich.

RZUCANIE LASSEM wchodzi w skład zawodów skautów Chorągwi morawskiej.

W HYDE PARKU w Londynie zebrało się jednego jesiennego popołudnia 1250 skautek i zuchów, 692 z nich brało udział w wielkiem poszukiwaniu skarbu. Później wszystkie uczestniczki tego zebrania zasiadły w grupach po kilkanaście dookoła ognisk, gdzie... (HM).

W HONG KONG istnieje organizacja skautowa licząca 160 członkiń zarówno białych jak i żółtych. Chinki noszą mundurki w swoim stylu narodowym, przypominające nasze pyjamy. Na czele organizacji stoją Angielki. (HM).

Rok V. Katowice, dnia 10 stycznia 1932 r. Nr. 1.

PISMO MŁODZIEŻY POLSKIEJ

NA TROPIE

Wychodzi 10-go i 25-go każdego miesiąca.

Cena 40 gr.

Gawęda Naczelnika.

Praca nad sobą.

Któż z was, młodzi, nie ma złotych snów o potędze, bohaterskich wizyj, — komu nie marzą się wielkie czyny, — kto z was nie zna tęsknot za czemś wspaniałem, olśniewającem, choć nieokreślonem? Ma je każde pokolenie, mieli i nasi poprzednicy. A jednak — rozejrzyjcie się w otoczeniu — jak wielu ludzi straciło je bezpowrotnie, jak wielu ugrzęzło w szarzyźnie życia, a jak nieliczna gromada wprowadza je w czyn. Czemuż tak się dzieje? Bo wielkość i zasługa nie przychodzi sama, a genjusz czy talent, to dość rzadki gość, — w ogromnej większości, ludzie wybijają się żmudną i twardą pracą. Zwłaszcza obecnie, kiedy idą czasy, których znamieniem jest wyścig pracy, jak to trafnie określił marszałek Piłsudski.

Punktem wyjścia musi być praca nad sobą, owo szczytne samowychowywanie się, leżące u podstaw pracy harcerskiej. Wielu z was zapewne czyni to mniej czy bardziej systematycznie, inni odpadli po drodze, są i tacy, którzy nigdy nie próbowali. Do wszystkich zwracam się dziś z apelem: wy, którzy trwacie, nie ustawajcie i pociągajcie innych; wy którzyście zaniechali bądź nie zaczynali, zabierzcie się żywo do siebie!

Zapyta niejeden z was, jak to czynić? Odpowiedź prosta. Podobnie jak lekarz przed udzieleniem porady, czy leczeniem, musi postawić diagnozę, tak i ty musisz dokładnie poznać siebie, swój wewnętrzny stan, a więc wady i zalety, skłonności i zamiłowania, nastroje i uczucia. Równocześnie zaś ustalić jakim chcesz i powinieneś być, do czego dążyć należy, co osiągnąć. Ułatwią ci to przyrzeczenie i prawo harcerskie, jeśli się nad niemi zastanowisz, ułatwią życiorysy wielkich ludzi; a i naokół siebie możesz znaleźć przykłady i wzory do naśladowania. A wtedy porównaj siebie z ideałem, do którego idziesz, ustal swoje braki i nakreśl sobie plan pracy nad sobą.

Rozumiem dobrze, że nie są to rzeczy łatwe; brak doświadczenia życiowego, niedostateczny samokrytycyzm, mała znajomość metod i środków wychowawczych mogą szalenie utrudnić, jeśli nie uniemożliwić, wykonanie twego pięknego zamiaru. Otóż i na to jest rada: zwróć się o pomoc do starszego — przyjaciela i z nim szczerze pomów. Niech to będzie twój ojciec czy starszy brat, twój wychowawca, twój drużynowy, czy nawet kolega, byleby był człowiekiem prawym i mądrym, a tobie życzliwym.

> *Wszystkim, którzy tak licznie nadesłali mi życzenia z okazji Świąt Bożego Narodzenia i Nowego Roku składam serdeczne podziękowanie.*
>
> ***Dr. Michał Grażyński***
>
> *Przewodniczący Zw. Harcerstwa Polsk.*

Przyjaciela takiego musisz mieć, jeśli nie chcesz iść przez życie poomacku. Kiedy przyjdą na ciebie chwile słabości i opadną cię pożądania, kiedy zwątpisz o sobie, a może i ideałach, zwróć się o pomoc do niego i szczerze wyznaj mu swój stan, a ustrzeżesz się od załamań. Niech nie powstrzymuje cię fałszywy wstyd, gdyż są to rzeczy ludzkie.

Praca nad sobą musi być prowadzona etapami: zacząć od spraw niewielu i drobniejszych i stopniowo rozszerzać je, aby wkońcu objąć całego siebie. Wymaga to dużej wytrwałości i systematyczności, opartych o silną wolę. Jest ona kamieniem węgielnym pracy nad sobą i od niej przedewszystkiem musisz zacząć, hartując ją i rozwijając szeregiem ćwiczeń i sumiennem spełnianiem dobrowolnie podejmowanych obowiązków. Dokładne dane o kształceniu woli i wogóle rozwoju charakteru znajdziecie w pracach Foerstera, Payota, Zarzyckiego, Baden-Powella i innych.

Bardzo ważną rzeczą w pracy nad sobą jest uporządkowanie swego dnia: określona godzina kładzenia się do snu (nie później niż godz. 22) i wstawania (6 latem, 7 zimą), umiejętne rozłożenie pracy i przeplecenie jej zdrową zabawą, unikanie jednostajności i przepracowania tak łatwego u zbyt zapalnych i zbyt wiele biorących na siebie harcerzy. Wyłania się tu konieczność ułożenia rozkładu dnia; początkowo niech zawiera on niewiele punktów, ale za to bezwzględnie przestrzeganych, w przeciwnym bowiem razie cała rzecz nie będzie nic warta; w miarę opanowywania rozkładu należy uzupełniać go przez coraz szczegółowsze oznaczanie swych zajęć, aż dojdzie się do tego,, że każda niemal minuta będzie miała swoje przeznaczenie. Jak dużo czasu zyskuje się w ten sposób, wie tylko ten, kto rozkład posiada i wypełnia go; unika się wówczas częstej i poważnej straty czasu na zastanawianie się, co teraz zrobić, na wyszukiwanie zajęć. Powie może ktoś, że prowadzi to do zmechanizowania człowieka i osłabia inicjatywę. Nic podobnego — czyż bowiem zmechanizowanie form towarzyskich, czy ruchów np. przy powitaniu i pożegnaniu obniża poziom, lub utrudnia rozmowę? — wręcz przeciwnie, ułatwia ją — tak samo ma się sprawa i z rozkładem dnia, o ile oczywiście dobrze jest ułożony, zawiera czas i na pracę i na rozrywkę i na lekturę. Właśnie rzeczą inicjatywy każdego będzie wypełnić ramy rozkładu żywą i urozmaiconą treścią.

(Dok. nast.)

Naczelnik Gł. Kw. Harcerzy.

Wszyscy, którzy zalegają z opłatą prenumeraty, nie otrzymają przyszłego numeru!

HELENA ZAKRZEWSKA.

Szalone Auto.

7)

W okolicy Druji od pewnego czasu ukazuje się nocami „szalone auto“, wyrządzające mieszkańcom pobliskich wsi wielkie szkody, przejeżdżając nie tylko zwierzęta, ale i turbując ludzi. Pewnej ciemnej nocy nieznane to auto przejechało w jednej wsi policjanta, Florka, który jednak przed śmiercią zdążył wyznać małemu pastuszkowi, Witkowi, wskazówki, według których można odnaleźć winowajców. Śmierć policjanta sprowadza do miejscowego dworu sędziego śledczego, zanim jednak Witek zdążył złożyć zeznania, tajemniczy motocyklista pogroził mu z za okna nożem. Witek rzuca się za nim, a nie dogoniwszy go, rusza po śladach motocyklu. Tymczasem 14-to letnia Marylka, córka właściciela dworu, organizuje zastęp harcerzy, przypuszczając, że dzieci dotrą tam, gdzie starszych niedopuszczą nieznani złoczyńcy.

IV.

Witek, wyskoczywszy odruchowo przez okno, sam nie wiedział, co czyni. Czapka osobliwego kształtu i wysoko podniesiony kołnierz zakrywały mu twarz nieznanego przybysza, zresztą trwało to tak krótko, że na obserwację nie było czasu. Dostrzegł tylko wyraźnie dłoń z ukrytym w pięści nożem, podnoszącą się w górę z gestem groźby i burza gniewu wezbrała w jego piersi. Bez namysłu rzucił się ku oknu. Postać znikła w mgnieniu oka, Witek zdążył jednak zauważyć gwałtowne rozkołysanie się krzaków bzu przy parkanie i skoczył w tę stronę. Przeskakując płot dostrzegł jeszcze, jak długonogi przybysz wprowadził w szalony pęd motocykl, stojący pod wierzbą. Zdawało mu się, ale to mu się chyba tylko zdawało, że ktoś stał za wierzbą, ktoś, kto może trzymał w pogotowiu motocykl z cichutko warczącym motorem. Nie miał jednak czasu zastanawiać się nad tem, kiedy bowiem dopadł do wierzby, nie było tam już nikogo, tylko motocykl mknął jak strzała gościńcem, wznosząc za sobą tumany kurzu.

Witek puścił się na przełaj przez pola, myśląc, że może uda mu się przeciąć mu drogę. Nie myślał o tem wcale, że jest małym, bosym, bezbronnym chłopcem. Pragnął tylko za wszelką cenę spojrzeć w twarz zbrodniarzowi, który wziął niewątpliwy udział w zamordowaniu biednego Florka.

Kiedy jednak po kilku minutach wytężającego biegu wynurzył się z łanu zboża na drodze pod lasem, motocykl był już daleko i tylko wiatr rozwłóczył po polu duszny obłok benzynowego czadu. Witek padł na ziemię, dysząc gwałtownie. Zrozumiał, że dalszy bieg w tem gwałtownem tempie jest niedorzecznością, bo motocykla i tak nie dogoni, a zerwie sobie płuca i może zachorować. Tymczasem jemu właśnie chorować nie wolno, bo on jeden ma klucz do tajemnicy szalonego auta. Droga w lesie nie ma żadnych rozgałęzień, a ślad koła na wilgotnem i miękkiem podłożu gościńca jest bardzo wyraźny. Trzeba poprostu odpocząć, wytrzeć mocno całe ciało garścią pachnącego mchu z zalewającego je potu i potem pójść za śladem, aż do końca. Choćby ten koniec miał kryć w sobie najgroźniejsze niebezpieczeństwo.

W chwilę potem, idąc raźno przez las, rozmyślał Witek nad wydarzeniami, które zaszły w ostatnich dniach i pożałował wielce, że natychmiast nie opowiedział panience o zwierzeniach Florka. Prawda, nie chciał jej nic powiedzieć z lęku przed grożą nieszczęścia, kryjącą się w słowach umierającego policjanta. Ale teraz kto wie, czy nie byłoby dobrze powiadomić ją o tem. Ona jest taka mądra i taka rozważna, napewno wymyśliłaby jakiś sposób na ostrożne i przezorne wyszukanie winnych, bez narażenia nikogo na zemstę złoczyńców.

Ale teraz nie można nic na to poradzić. Powrót do dworu byłby tylko niepotrzebną stratą czasu. Trzeba iść za śladem, dopóki nie zetrze go deszcz, lub fury chłopskie. Może w drodze uda się znaleźć jakiś sposób do porozumienia się z panienką.

Śmiało i odważnie maszeruje Witek drogą w ciemnym, szumiącym borze. Nie potrzebuje wcale trudzić się szukaniem śladu, bo głęboka koleina rozpędzonego motocykla zdaleka bije w oczy. Las szumi, szumi, śpiewa i szeleści, jakby opowiadał jakąś starą, dobrze znaną bajkę. Zupełnie tak, jakby matusia żyli jeszcze i układali do snu malutkiego Witka... To było już tak dawno! Serce chłopca ściska się nagle wielką tęsknotą, ale natychmiast wraca chłodna rozwaga. Zdaleka dolatuje skrzyp osi i chrapanie koni. Jakiś wóz jedzie drogą. Witek instynktownie daje nurka w gęstwinę leśną. Zaczajony w gęstym krzaku leszczynowym bystro patrzy na drogę. Nigdy nie wiadomo, co się może przydarzyć.

Z za zakrętu wyłaniają się dwa łby końskie, a potem wóz, naładowany słomą. Na przodzie wozu siedzi dwu ludzi w czapkach, głęboko nasuniętych na oczy. Ten, który powozi, ruchem pochylonych pleców dziwnie kogoś Witkowi przypomina. Ale kogo? Chłopak natęża pamięć, przymyka oczy i nagły dreszcz przebiega mu przez plecy. To sylwetka kierowcy szalonego auta. Ma ją jeszcze tak żywo w oczach! Ale nie, to niepodobna! Nie można przecież w napotkanym człowieku widzieć tajemniczego i podejrzanego Bóg wie o co zbrodniarza.

Witek z zapartym tchem leży przyczajony w zaroślach i śledzi z przejęciem nadjeżdżający wóz. Gdzież oni wiozą tę słomę?

— W naszej okolicy słomy nie brak i niema na nią popytu — rozumuje Witek — a najbliższa wieś za lasem leży pono o trzydzieści wiorst od nas. Komuby się chciało wieść furę słomy tyli szmat drogi, kiedy w naszych stronach za grosze ją dostanie?

Teraz słychać wyraźnie rozmowę jadących na furze ludzi. Mówią po polsku? Nie, chyba raczej po rosyjsku. Jeden z nich ma charczące, gardłowe akcenty. Drugi zaciąga się śpiewnie, słów nie słychać, ale akcent jest zupełnie podobny do akcentu tego rosyjskiego kupca z Tuły, który niedawno mieszkał u nich w karczmie, w ucieczce od bolszewików.

Nagle wóz staje w miejscu, skrzypiąc głośno niesmarowanemi osiami. Od wozu do kryjówki Witka jest tylko kilkanaście kroków. Ludzie schodzą z wozu i wyjmują z pod słomy pęki sznurów. Rozglądają się bacznie dokoła i zdają się nad czemś radzić. Zimny pot występuje na czoło Witka, ciało jego pokrywa się gęsią skórką. Czego oni chcą tutaj? na co im te sznury? czy może wiedzą już o jego obecności w lesie i chcą go skrępować, albo nawet... powiesić? Z przerażeniem Witek widzi, jak skradają się w jego stronę. W ruchach ich jest coś kociego, skrytego, coś, co przypomina czajenie się dzikiego zwierzęcia. Jeden z nich pokazuje palcem w stronę zarośli, w których ukrywa się Witek. Serce chłopca przestaje bić z nagłego wzruszenia. Ale nie, drugi odciąga go w bok, między powalone przez burzę pnie dwu



starych świerków. Słychać wyraźnie, jak nad czemś radzą, jak się spierają.

Instynkt samozachowawczy skłania Witka do wycofania się z tego niebezpiecznego stanowiska. Trzeba to zrobić prędko, zanim się znów pokażą na drodze. Ogromne zwaliska pni, za któremi się ukryli, w tej chwili kryją mu odwrót. Pomaleńku i z ogromną ostrożnością Witek cofa się na czworakach, pełznie w tył, jak rak, nie spuszczając z oczu powalonych pni i fury, stojącej na drodze. Łagodny spadek terenu pozwala mu teraz posuwać się szybciej. Teraz może już pełznąć na kolanach i na łokciach. Ogromnym łukiem pastuszek okrąża niebezpieczny zakręt drogi i zdaleka raz jeszcze bacznie przygląda się tajemniczym praktykom nieznajomych. Widzi, że fura stoi na zakręcie, jak stała, tylko konie mają worki z obrokiem, uwieszone u szyji. Acha, to będzie popas! Dlaczego tu właśnie, w samym środku boru?

Jeden z podróżnych ułożył się na wierzchu słomy, jakgdyby spał niewinnie. A drugi? Gdzie jest drugi? Leciuchny dymek z fajki zdradza miejsce jego schronienia. Ukryty za zwałem pni rozwija i skręca poplątane sznury. Czy to jednak nie jest tylko gra nazbyt podrażnionej wyobraźni? W każdym bądź razie lepiej jest znaleźć się jaknajdalej od tych niesamowitych gości.

— Nogi za pas, uciekajmy! — mówi sobie Witek i wprawia bose swoje stopy w najszybsze tempo, do jakiego są zdolne. Mech tłumi odgłos jego biegu. Wypadłszy na drogę Witek znajduje odrazu ślad motocyklu i biegiem puszcza się za nim. Im prędzej znajdzie się za lasem, tem lepiej dla niego i dla innych. Przebyty lęk podwoił jego ostrożność. Za każdym głośniejszym szelestem chłopak przypada do pnia drzewa i wietrzy niebezpieczeństwo. Las także teraz inaczej się zachowuje, niż przedtem. Niespokojne powiewy szarpią gałązkami drzew. W powietrzu zdają się krzyżować jakieś urywane głosy. A serce, bijące szybko w piersi zmęczonego biegiem chłopca, kołace urywanym stukotem:

— Strzeż się! strzeż się! strzeż się!

Nareszcie las się przerzedza. Poprzez coraz rzadsze pnie błyskają smugi pól, różowych w świetle zachodzącego słońca. Na skraju lasu, na wrzosowiskach, roi się od małych, brzęczących muszek. Teraz trzeba iść wolniej, bo droga wije się przez odkryte łąki, gdzie ukryć się nie można. Witek otrzepuje się z mchów i gałązek, których ma pełno na sobie od pełzania w lesie, wkłada ręce w kieszenie i pogwizdując przez zęby, idzie naprzód niedbałym krokiem chłopca, który nic nie ma do roboty. Nogi bolą go już bardzo i głodny jest porządnie, ale cóż to znaczy wobec tajemnic, oplątujących go w koło.

Łąki, potem pola bez końca, potem znów młody las... Słońce gaśnie zwolna za ścianą drzew. Zmierzch zwolna zaciera kontury drzew i krzaków, nad zielonemi płachtami łąk zaczynają się ukazywać białe tumany mgieł. Gościniec szarzeje i ślad na nim zaczyna się stawać coraz mniej wyraźny. Z za grupy wysokich drzew wystrzela w niebo smukła wieża kościółka. Widać już i dymy chałup, wijące się błękitnie na ciemniejącem tle nieba. To jakaś wieś napewno, ale jaka? Witek nie zna zupełnie okolicy z tej strony boru. Wrodzona ostrożność, spotęgowana jeszcze niedawnem przeżyciem w lesie, nakazuje mu jaknajwiększą rozwagę. Zwalnia więc kroku, a potem skręca na boczną dróżkę między dwoma łanami żyta, pragnąc dostać się do wsi gdzieś z boku, niepostrzeżenie.

Na gościńcu zaturkotały wozy, jeden, drugi, trzeci.

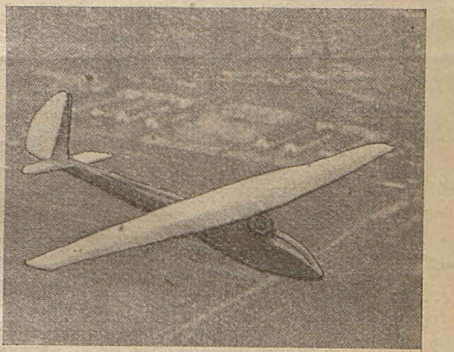
— O, źle! — pomyślał Witek. — Zadużo mi coś tych wozów. Czy to nie będą przypadkiem Łużki? Jeśli dziś targ był w miasteczku, zatrą mi ślady zupełnie.

Przyśpieszył kroku i chyłkiem, między opłotkami, dostał się między pierwsze zabudowania miasteczka. Był to widocznie dzień targowy, na rynku bowiem, otoczonym małymi domkami, stały jeszcze tu i ówdzie fury, koło kramów krzątały się kupcowe, pakujące do skrzyń swoje towary, garncarz ładował na wóz niesprzedane misy i garnki, a w kilku gospodach słychać było gwar wielu podochoconych głosów.

Witek zaczął wałęsać się po rynku, namyślając się, co ma z sobą począć. Przechodził właśnie koło małej, odrapanej kamieniczki, na której zdaleka świecił duży szyld z napisem: Apteka. Witek zajrzał do środka i zadrżał. W aptece, tuż naprzeciw niego, stał oparty o ladę wysoki, barczysty człowiek z lisią twarzą i rozmawiał wesoło z aptekarzem.

(C. d. n.)

Loty na szybowcu.



Szybowiec holowany przez aeroplan.

W ostatnich latach zaczął się rozpowszechniać zupełnie samodzielny — a przytem wspaniały — sport, a mianowicie — żeglarstwo powietrzne. Szybownictwo jest całkiem odrębną gałęzią lotnictwa. Nazwa pochodzi stąd, że lot aparatu pozbawionego silnika do złudzenia przypomina szybowanie niektórych ptaków, jak bociany, czy jastrzębie.

Jakkolwiek wydaje się to niemożliwe, szybowce potrafią wznieść się na kilkaset metrów w górę i przebyć podróż wielokilometrową (np. jeden z pilotów niemieckich przeleciał niedawno trasę, wynoszącą 260 km.), wykorzystując w tym celu jedynie siłę odpowiednich wiatrów. Znane są nam wszystkim poziome ruchy powietrza od lekkich „zefirków", aż po groźne huragany. Otóż, gdy taki prąd poziomy spotka na swej drodze przeszkodę w postaci gór, odgina się ku górze i w ten sposób powstają prądy tzw. wstępujące, które specjalnie sprzyjają szybownictwu. Lekki bowiem aparat szybowcowy, dostawszy się w odpowiednio silny prąd wstępujący, zostaje przezeń uniesiony w górę. Tak więc szybowiska, czyli lotniska dla szybowców, urządzane są z reguły w okolicach podgórskich.

Ostatnio dokonano niezmiernie ciekawego odkrycia, że doskonałemi szybowiskami są również — wielkie miasta. Miasto bowiem, jako wielkie zbiorowisko kamiennych bloków, pokrytych blaszanemi dachami, rozgrzewającemi się łatwo od promieni słonecznych — produkuje olbrzymie ilości ciepła, co powoduje stały ruch powietrza. Wiadomo bowiem, że powietrze rozgrzane jest lżejsze od zimnego, to też wzbija się ono w górę, tworząc prąd, nieraz dosyć silny.

Wreszcie istnieje jeszcze trzecia możliwość dla lotów szybowcowych. Oto posuwająca się z gwałtowną szybkością burza pozwala zręcznemu i śmiałemu pilotowi szybować przed swem czołem.

Osobnem zagadnieniem jest, w jaki sposób wznieść się z ziemi, jak się od niej oderwać. Istnieją tu różne możliwości: można holować szybowiec przez samolot, można ciągnąć go przy pomocy samochodu, podobnie jak chłopcy ciągną biegnąc swój papierowy latawiec, można wreszcie „wystrzelić" szybowiec w powietrze przy pomocy pewnego rodzaju procy. Ten ostatni sposób jest najczęściej praktykowany w okolicach podgórskich. Procę stanowi lina gumowa, złożona w kształcie litery V, ostrze której zaczepione jest na przodzie szybowca, trzymanego przez kilku ludzi. Inna grupa ludzi napina silnie oba końce liny; na sygnał wypuszcza się z rąk szybowiec, który siłą napiętej liny z rozpędem wystrzela w górę.

Dalszy lot zależy od umiejętnego wykorzystywania przez pilota różnych prądów powietrza. Jest to nielada sztuka, wymagająca długiego treningu. Niemniej warto ponieść trochę trudu, aby godzinami unosić się w powietrzu bez pomocy motoru. Jak długie mogą to być podróże, świadczy o tem rekord przebywania w powietrzu na szybowcu, o którym donosiły dzienniki kilkanaście dni temu. Rekord ten, zdobyty przez Amerykanina Williama Cooka, wynosi 21 godzin i 36 minut! Wobec takich wyników nie można się dziwić, że młody ten sport szturmem zdobywa sobie powodzenie, że i skauci w wielu krajach zabrali się z zapałem do szybowania. Tak np. w Anglji i Ameryce wiele drużyn posiada własne szybowce, a w Czechosłowacji skauci zbudowali nowy model szybowca, uznany przez oficjalne czeskie sfery wojskowe za aparat do szkolenia pilotów. Aparat ten otrzymał nazwę „Scout" i pod nią rozpowszechnia się nawet i poza granicami Czechosłowacji.

I u nas, w Polsce, istnieją już drużyny harcerskie, które zaczynają pracować na tem polu.

Aby ten sport szerzej rozpowszechnić i udostępnić wszystkim drużynom, „Na Tropie" wczesną wiosną zamieści artykuł, jak sobie samemu wybudować szybowiec. Mamy nadzieję, że wielu naszych czytelników będzie z niecierpliwością oczekiwać na ten artykuł.

ZOFJA KOSSAK-SZCZUCKA.

PRZYJACIELE.

21)

Sama nie wiedząc, kiedy i jak, pchnięta wyższą wolą, Michalina znalazła się w ogonku czekających na spowiedź, zbierając usilnie rozpierzchłe, potargane myśli. Lata, lata całe nie była już u spowiedzi. Nie miała na to czasu. W cyrku nie było święta, nie było modlitwy, nie było Boga innego niż gniewny dyrektor i wieczorne przedstawienie.

Z upragnieniem wpatrywała się w ciemniejszą kratkę konfesjonału, za którą siedział ktoś, komu będzie mogła nareszcie zwierzyć całą swoją niedolę, swe zmartwienie, swe straszne samobójcze pokusy i na samą myśl o uldze, jaką jest szczere wypowiedzenie się, kojące łzy spływały jej po policzkach.

Płynęły strugą i wtedy, gdy nareszcie przyszła na nią kolej, gdy wyszeptała w bezpieczne wnętrze konfesjonału wszystko co przepełniało jej serce.

Spowiednik, młody, energiczny, przejął się żywo jej opowiadaniem. Skrzepił dobrem słowem, dodał otuchy i odwagi, nareszcie zapytał, kiedy wyjeżdża i dokąd?

— Jutro — westchnęła — do Brodów, a potem podobno do Krzemieńca...

Odchrząknął z zadowolenia.

...Opatrznościowe zdarzenie, moja droga, wyszeptał — mam w Krzemieńcu wuja, też księdza, kanonika... Bardzo zacnego człowieka... Wiem że poszukuje kucharki... Pisał do mnie niedawno czy nie znam kogoś uczciwego na to miejsce... Zaraz dziś do niego napiszę, uprzedzając o twojem przyjeździe... Możesz się tam zgłosić... Będziesz rzeczywiście pracować? Będziesz uczciwą i dobrą?...

O tak! tak! zaręczyła, zachłystując się łzami radości. Gdy zastukał w przesiąknięte ludzkiemi strapieniami drzewo, okryła pocałunkami koniec stuły i dłoń jego dobroczynną. Wyleciała z kościoła niby na skrzydłach. Radość odmieniła jej twarz, wygląd i cały personel cyrkowy przyglądał się jej, gdy wróciła, podejrzliwie. Nie mówiła jednak nic nikomu, w obawie, że dyrektor zmieni plan podróży, a jakże wtedy dostałaby się do Krzemieńca?

To też przez następnych parę dni wszystko szło po dawnemu, nie zdradzając żadnych bliskich zmian. Cyrk odbył swe trzy dni w Brodach, ruszył do Krzemieńca. Michalina wpółprzytomnemi oczami wodziła po krajobrazie, tym samym, na który spoglądali Julek i Władek w parę dni później. Z radosnem ściśnięciem serca myślała, żali to możliwe, by znalazła nareszcie tutaj kres wędrówki, schronienie bezpieczne dla siebie i dzieci? Serdecznym, choć roztargnionym wzrokiem spoglądała a Dorka i Topsego, jedynie dwie istoty z całego cyrku, które lubiła i które opuszczała z żalem.

Wyładowali się w nocy i z trudem doczekawszy ósmej godziny rano, Michalina pomknęła na plebanję. Drogę wskazano jej łatwo. Serce łomotało w niej jak młotem. Nagła obawa, czy ksiądz ze Lwowa nie zapomniał napisać do kanonika? Czy jeszcze potrzebują tu kucharki? odjęła jej mowę i siłę. Z największym wysiłkiem zdołała wyjąkać z czem przyszła.

O radości! Ksiądz napisał i czekano na nią. Kanonik, zażywny, czerstwy starowina, spoglądał zrazu nieufnie na dziwaczną odzież nowej kucharki, lecz po kwadransie rozmowy rozpogodził się i wprowadził ją w jej przyszłe władztwo. Jakżeż się jej wydało urocze! I maleńki, czysto bielony pokoik, w którym miała sypiać wraz z dziećmi. Jej własny pokoik! I przestronna, widna, zasobna kuchnia, z ceglaną podłogą i błyszczącą baterją naczyń aluminjowych i miedzianych na półkach. I gęsty stary sad wiśniowy koło domu. I podwórko pełne kur i wszelkiej żywiny!

— Czy umiecie chodzić koło świń i drobiu? — pytał pracodawca, obserwując ją z pod oka.

— Nigdy jeszcze nie byłam przy nich — wyznała, ale wychowałam małego lwa, którego matka zdechła, a to podobno bardzo trudno... a także dwie małe małpki...

Kanonik westchnął nieznacznie. Obawy jego nie mogły rozproszyć się odrazu. Głośno polecił nowej kucharce, by przyprowadziła dzieci, przyniosła swe rzeczy i obejmowała jak najszybciej obowiązki.

Pobiegła, nie dotykając ziemi. Biedna Michalina mogła doprawdy wyglądać na warjatkę, gdy pędziła ulicą, machając z radości rękami, trzęsąc głową i mamrocząc niezrozumiałe wyrazy. Sunące powoli na Mszę panusie w czarnych okrywkach, spoglądały na nią ze zgorszeniem.



I to ma być nowa kucharka księdza kanonika!!!? O święta godzino!!

Lekki strach przed rozmową z dyrektorem mącił całkowite szczęście. Tego ranka jednak wszystko układało się pomyślnie. Dyrektora nie było. Poszedł targować koninę dla lwów.

— Dowidzenia wam wszystkim! odchodzę!! — rzuciła triumfalnie Michalina w głąb budy.

— Gdzie?! dokąd?! kiedy?! — zahuczało ze wszystkich stron. Nie tracąc czasu, chwyciła węzełek z rzeczami i małego Jasia na ramię a Lotkę za rękę.

— ...Do księdza kanonika, na probostwo! będę tam kucharką!! Dowidzenia! bywaj zdrów, Dorek!

Odeszła szybko, lękając się, by dyrektor nie nadszedł. Podwórze z drobiem zachwyciło dzieci. Wydało im się cyrkiem, trochę innych, niż poprzedni, lecz jeszcze zabawniejszym.

— Zobaczymy wieczorem, jakie one umieją sztuki?! — mówiła Lotka do małego brata, patrząc z ciekawością na ciągnące sznurem kaczki. Michalina krzątała się w kuchni uśmiechnięta weselnie. Kładła w przygotowanie pierwszego obiadu całą swą umiejętność, staranie, zapał i wdzięczność.

— Gdzie Lotka? — zapytała ze zdziwieniem, wracając po południu do domu, obarczona zakupami.

Mały Jaś rozłożył ręce gestem niewiedzy. Tknięta złą trwogą, Michalina, pobiegła do ogrodu, nie znalazła tam nikogo, — zajrzała w każdy zakątek podwórza i domu. — Dziewczynki nie było. Z domowych nikt jej nie widział. Wszyscy przypuszczali, że poszła wraz z matką. Jaś bawił się cały czas na podwórku sam.

— Boże! Boże! — powtarzała Michalina — szczękając zębami. Jak oszalała pobiegła do cyrku.

— Niema tu Lotki?! — krzyknęła z rozpaczą.

Zamiatający arenę Moryc obejrzał się ze zdziwieniem.

— Lotki? — powtórzył przeciągle, — jakiej Lotki?

— No, mojej! mojej małej! — gdzieś mi zginęła! Boże! Boże!

— Przecież zabraliście ją rano...?

— Teraz mi zginęła.. po południu... Poszłam na miasto... Myślałam, że tu przybiegła... Nie było jej napewno?

— Przecież mówię, że nie — odparł błazen niechętnie.

— A gdzie wszyscy?! gdzie dyrektor?

— O, dyrektor zaraz zrana pojechał taksówką do Dubna, wróci dopiero na przedstawienie...

— Więc nie widzieliście Lotki!!?

— Nie widziałem, nie widziałem, sami ją stąd zabraliście..

Coraz więcej przerażona wróciła na plebanję. Rozpacz jej była tak wielka, jak wielką niedawno radość. Wątła nadzieja, że Lotkę w domu zastanie, roz-

wiała się. Dziecka nie znaleziono. Poczciwy kanonik szczerze zaniepokojony, kazał już sondować studnię. Posłano na policję.

— To on! to on! przysięgam Bogu, że to on! — krzyczała Michalina obłąkanym głosem.

— Jaki on? — zapytał zdumiony kanonik.

— Sławiczek! dyrektor! On napewno! Nie chciał puścić Lotki... potrzebna mu była do cyrku... Zapowiedział mi, że jej nie puści!! On ją skradł! Wywiózł gdzieś... schował! On! on!

— Ha, dobrbeby było przepytać ludzi w cyrku — zauważył komendant. Zaraz tam idziemy. Sędzia Domański, który nadszedł w międzyczasie, poszedł wraz z niemi, uspokajając po drodze szlochającą Michalinę. W cyrku zastali dyrektora; wrócił przed chwilą. Zapytany o Lotkę, okazał najwyższe zdumienie.

— Żal mi jej serdecznie — mówił — takie śliczne, miłe dziecko! Szczerze ją lubiłem... Chciałem się nawet zająć jej przyszłością... Jakieś przeczucie... Mówiłem ci — zwrócił się do Michaliny — abyś jej stąd nie zabierała...

Zeznania pozostałych członków trupy nie przyniosły również nic nowego. Wszyscy niemrawo i krótko, stwierdzali, że nie widzieli dziecka. Zresztą każdy zajęty był swoją robotą i nie zwracał uwagi na nic innego.

Przyszła kolej na Dorka. Wystraszony więcej niż kiedykolwiek, chował głowę w ramiona, oglądając się trwożnie za siebie.

Michalina wyciągnęła ku niemu ręce błagalnie.

— Dorek, zaklinam cię na Boga, powiedz prawdę: nie widziałeś tutaj Lotki?!

Chłopiec spojrzał na nią, otworzył usta, by coś powiedzieć, obejrzał się na dyrektora i skulił głowę po swojemu.

— ...Kiedy... się boję!! — jęknął żałośnie.

— Nic się nie bój — uspokajał go komendant, mów!

— Boję się! boję się!

— Przecież to obłąkany — zauważył spokojnie dyrektor — biedny chłopak nastraszył się kiedyś lwa i odtąd umie powiedzieć tylko te dwa słowa...

Lecz Michalina zrozumiała, że Dorek wie, co się stało z jej dzieckiem, wie, lecz boi się powiedzieć... I wszyscy tamci wiedzieli napewno! Wiedzieli, ale milczeli! Zagrożeni utratą zarobku, patrzyli obojętnie na jej rozpacz, kłamali zgodnie i wytrwale... O na Boga, któż się tu znajdzie uczciwy?!

Zrozpaczone jej oczy spotkały się nagle z wzrokiem siedzącego w kącie Topsego. Chwyciła komendanta za rękę.

— Ten pies! ten pies powie prawdę! On mówi! Niech pan każe przynieść papier z jego alfabetem... Ja go zapytam! on powie!

Dyrektor poczerwieniał z gniewu.

— Wstydziłabyś się zaprzątać panom głowę takiemi głupstwami! Psa się pytać! Jeszcze czego!?

— Psy są dla policji bardzo wiarogodnemi świadkami — odparł sucho komendant — proszę o ten papier.

Zagryzając wargi ze złości, dyrektor polecił przynieść alfabet. Przywołano Topsego. Podszedł skulony i drżący.

— Mów piesku... mów... mów... — syczał słodko dyrektor. W kieszeni obracał nieznacznie krótki pręt gumowy. Topsy znał ten ruch. Wiedział, co on oznacza. Każdy nerw dygotał w nim z lęku. Spojrzał po wszystkich uważnemi mądremi oczami.

Michalina przysiadła przed nim.

— Byłam zawsze dobra dla ciebie... Pamiętasz? — gdzie Lotka!? — gdzie Lotka?...

Wszystkie oczy spoczęły na psie. Komendant trzymał w ręku papier z alfabetem, śledząc uważnie ruchy psa.

Topsy wahał się, wrodzona zwierzęca uczciwość walczyła w nim z obawą. Gdy powie prawdę — dyrektor go potem zabije. Obejrzał się na stojących z tyłu błaznów, którzy skłamali, uczuł nagłą pogardę dla nich i odrazę. On, pies, nie skłamie jak człowiek. W nagłem postanowieniu, ani wiedząc, że się wznosi na wyżyny istotnego bohaterstwa, jął stukać szybko, uważnie. Komendant notował litery. Odczytał głośno: „Gruby wziął Lotkę do auta"...

— ...Tak, tak! to prawda! widziałem! — krzyknął nieoczekiwanie Dorek.

Dyrektor wzruszył ramionami, ze źle ukrywaną wściekłością.

> *Redakcja „Na Tropie" dziękuje serdecznie wszystkim, którzy złożyli jej świąteczne i noworoczne życzenia*

— Kiedy?! kiedy?! — wołała rozpaczliwie Michalina.

— Dziś, obiad, — wystukał Topsy.

Dyrektor podskoczył do komendanta.

— Chyba pan nie bierze na serjo tych psich opowiadań... To są cyrkowe sztuczki... kawałki djalogu, którego sam go wyuczyłem... On je zawsze powtarza bezmyślnie...

Ale komendant odsunął go na bok, bo Topsy podniósł znów łapę.

— Gruby zabije mnie i Dorka — wystukał z rezygnacją.

— Kto to jest „gruby"? — zapytał sędzia.

— To lew! lew! — zawołał dyrektor z pośpiechem. — O ten, tam, największy... Wszyscy moi ludzie tak go nazywają... Zabawnie, prawda?... Tubylcy w Afryce nazywają lwa: pan z dużą głową, a moi ludzie „gruby" ha, ha!...

— Nieprawda, — wystukał Topsy, — to ty.

— Wiedziałam odrazu, że to on! — wołała Michalina, — gdzie moje dziecko!? oddaj je! Ty zbóju! gdzieś je wywiózł?!

— Nie będę gadał z warjatką... — odparł dyrektor siny z gniewu... — Sądzę, że ci panowie, mając z jednej strony zeznania dwunastu zdrowych, przytomnych ludzi, a z drugiej obłąkanego i psa, nie będą się wahać...

— Ale ja cię podaję do sądu! słyszysz! O kradzież dziecka!

— Podawaj sobie wiele chcesz, — dowidzenia panom... chodź no, Dorek ..

— O, przepraszam, — wtrącił się komendant, — ... Sprawa idzie do sądu.. . do chwili rozprawy, świadkowie strony skarżącej znajdują się pod opieką władzy... Zabieramy psa i chłopca...

— Jakiem prawem?! — rzucił się groźnie dyrektor. — Ja będę skarżył tę babę o wynikłe stąd dla mnie straty... Ja będę pana skarżył panie komendancie! Ten pies to główna atrakcja... Jeżeli mu się coś stanie, ja zażądam wielkiego odszkodowania...

Nie zwracając uwagi na jego pogróżki, komendant i sędzia wyszli, zabierając Dorka, Topsygo i łkającą rozpaczliwie Michalinę.

— — — — — — — — — — — — — — —

...Wyszliśmy zatem — opowiadał całą tę historję sędzia Domański trzem przybyłym chłopcom... wyszliśmy, zapominając zabrać ze sobą alfabetu, dzięki któremu moglibyśmy porozumieć się z psem. Komendant przypomniał sobie o tem wkrótce i posłał po papier, ale już było zapóźno. Dyrektor zaręczał, że zaraz po naszem wyjściu jedna z małp schwyciła leżący papier i podarła go w strzępy. Oczywiście kłamstwo wierutne, ale jak go dowieść? Ten Sławiczek, to niesłychanie sprytny łotr... Psa zabrałem do siebie, a chłopca, ta biedna kobieta, za zgodą księdza kanonika... Pies był u nac cały wczorajszy dzień. Naprawdę, dziwne zwierzę! Chodził krok w krok za moją córką, i stukał łapą, niestety, nie mogliśmy zrozumieć co chciał powiedzieć... Brakło nam klucza do jego mowy... Posłałem go po połudnu na spacer ze służącą... Wrócił dziwnie niespokojny, szarpał się, piszczał, a nad ranem dzisiaj zdechł...

Dzisiaj nad ranem! Spóźniliśmy się tylko o jeden dzień... mój Boże!

Siedzieli milcząc, przygnębieni, ogłuszeni niespodziewanem ciosem. Nie mogli wprost uwierzyć w prawdziwość faktu. Dziwna rzecz! Gdyby po powrocie ze szkoły dowiedzieli się w domu, że Topsy zdechł, zmartwiłoby to ich bardzo, nie w tym stopniu jednak co obecnie. Teraz, gdy tyle znieśli trudów, przeciwności, gdy tak wytrwale dążyli do celu, gdy już go osiągali, — wiadomość o śmierci poszukiwanego psa — stawała się dla nich nieomal nieszczęściem.

— Jeden dzień! jeden dzień! — powtarzał Julek, nie próbując powstrzymać łez, które płynęły mu gradem po twarzy, — to przez ten przebrzydły film! Powinienem był wiedzieć zawczasu, że gdzie jest cyganka, choćby udana, to musi się zdarzyć nieszczęście!!

— Jest to rzeczywiście fatalny zbieg okoliczności, — mówił sędzia, — przedewszystkiem dla tej biednej matki, która jedynie przez psa byłaby mogła dowiedzieć się czegoś o dziecku... Natomiast wobec waszego przyjazdu t mten łotr nie będzie mógł wystąpić do władz z pretensją o odszkodowanie...

— On go sam cholera struł! — wybuchnął Franek.

— Ja też jestem tego pewny, choć w głowę zachodzę, kiedy mógł to zrobić... Posłałem po weterynarza aby zrobił sekcję.

— Gdzie leży teraz? Chcielibyśmy go zobaczyć...

— W komórce na drzewo, przy schodach.

Biedny Topsiaczek leżał tam istotnie, sztywny, wyciągnięty. Po śmierci wydawał się dłuższy, cieńszy i nawet uszy zdawały się mieć inny kształt i wyraz. Z żalem patrzący na niego chłopcy poczuli się urażeni obojętnem zachowaniem Lupusa. Wilczur wąchnąwszy zdala, nie wszedł nawet do komórki, wytrząsając obojętnie pchły za progiem.

(Ciąg dalszy nastąpi)

Zbiórka alarmowa.

Obrazek sceniczny z życia harcerskiego w 3 aktach.

Osoby:

Nika, Basia, Vera, Zośka, Inka, Lena — *zastęp harcerek*; *Matka*; *Ewa, Irka* — *jej córki*

Akt I.

(Scena przedstawia skromnie, ale porządnie urządzoną izbę harcerską; długi stół, ławka, kilka krzeseł, szafa lub półka z książkami, okno ozdobione firanką i kwiatami.

Wkoło stołu skupione siedzą dziewczęta w mundurach harcerskich. Scena 1. Nika siedzi przy stole, przy niej cały zastęp w pozach swobodnych siedzi przy stole i rozprawia.)

Nika: Tak więc moje kochane, zastanawiając się nad tem, co zastęp nasz będzie robił tej zimy, doszłam do przekonania, że w tej tak ciężkiej porze roku i przy ogólnie panującej biedzie specjalny nacisk musimy położyć na pracę społeczną, na nasze harcerskie „dobre uczynki".

Zośka: A cóż my jeszcze więcej robić możemy...?

Inka: Pomagamy przecież słabym uczennicom w nauce — już nas nawet za to na konferencji chwalili.

Lena: Założyłyśmy skrzynki dla ptaków na drzewach koło izby i każda pamięta o okruszynach za oknem u siebie w domu.

Vera: Świeciłyśmy światła na opuszczonych grobach w Dzień Zaduszny.

Nika: Dobrze, dobrze — o tem wszystkiem wiemy i nie potrzebujecie wyliczać całej litanji, która nie jest znów tak niezwykła. To, co robimy, to poprostu nasz obowiązek i nie trzeba nawet być harcerką, by pomóc w nauce koleżankom, lub pamiętać o marznących ptaszkach.

Basia: A światła na grobach!

Zośka: Ona to uważa za największy czyn, bo się strasznie bała wtedy na cmentarzu.

Basia: Ach! Ty niedobra!...

Nika: Dajcie no spokój — jeśli się bałaś, Basiu, to właśnie dobrze świadczy o Tobie, żeś nie uciekła — jednak to zamało, bo to był czyn jednorazowy, a my musimy stale robić coś dobrego i być użyteczne — przecież zawsze jesteśmy „na służbie".

Zośka: Ach Niko — my się przecież nie wymawiamy, ja strasznie lubię być potrzebną i coś robić na świecie — ale co my możemy robić?

Vera: Tak! co my jeszcze możemy robić — nie mówię o codziennych dobrych uczynkach, o tem się przecież pamięta...

Basia: (wtrąca) jak czasem...

Vera: Nie przerywaj Baśka — więc dobre uczynki to już „murowane". — Zawsze się znajdzie sposobność jak się chce — ale ta jakaś „praca społeczna" — i tak mamusia mówi, że mnie nigdy niema w domu, tylko wciąż gdzieś latam...

Inka: Ja się znów w tym roku nie mogłam zapisać na lekcję tańca, bo nie mam czasu.

Basia: A — to rzeczywiście straszna szkoda...

Nika: Basiu! daj spokój. Więc słuchajcie dziewczynki — wiem, że jesteście bardzo zajęte i że trudno wam się podjąć nowych obowiązków. A jednak jestem przekonana, że po zastanowieniu się przyznacie mi rację, że nie tylko trzeba, ale i można więcej myśleć o innych i co ważniejsze, więcej dla nich robić, niż my w zastępie. Daję więc wam tydzień czasu, — przez ten czas rozejrzyjcie się i pomyślcie, a na następnej zbiórce powiecie mi, czy rzeczywiście nic już dobrego nie możemy dokonać w tym roku wspólnemi siłami. A teraz jeszcze prędko zaśpiewamy coś na zakończenie zbiórki i marsz do domu, bo lekcje pewno dotąd nie ruszone.

Lena: Ja już wszystko umiem.

Inka: A ja jeszcze nic — ale śpiewajmy.

Nika: (intonuje) „Naprzód dziewczęta, precz z bezczynnością" Podajmy sobie siostrzaną dłoń (i t. d. — 3 zwrotki).

Basia: A teraz jeszcze coś wesołego.

Nika: No dobrze (intonuje dowolną piosenkę ludową lub harcerską — po odśpiewaniu:) Zastęp! w szeregu zbiórka! (dziewczęta ustawiają się szybko, Nika staje przed frontem) Więc następna zbiórka za tydzień — proszę pamiętać o ćwiczeniu, które wam dałam do domu, no i pomyśleć o tem, co dziś mówiłyśmy na temat naszej „służby".

Vera i Zośka niech pamiętają, że są dyżurnemi w izbie. Żeby mi było codzień napalone i sprzątnięte jak w pudełku.

Basia: (wtrąca) To zależy, jak w czyjem pudełku... (Dziewczęta wybuchają śmiechem.)

Nika: Baczność! — rozejść się — Czuwaj! (Dziewczęta rozbiegają się i zaczynają ubierać się do wyjścia.)

Vera: Niko! My z Zośką zostaniemy — mamy lekcje odrobione, to dziś sprzątniemy, a jutro tylko wpadnę ze szkoły i napalę.

Nika: Dobrze — zostańcie, byle nie za długo — dowidzenia. (Wszystkie wychodzą prócz Very i Zośki.)

Scena 2.

(Vera i Zośka zostawszy same siadają na ławce i rozmawiają).

Zośka: To pysznie Verka, żeś wpadła na pomysł zostania w izbie i sprzątnięcia dziś — ja i tak powiedziałam w domu, że przed 7-mą nie wrócę.

Vera: Bo wiesz — ja wolę dziś sprzątnąć, a jutro po szkole iść odwiedzić tę „nową", co przyszła do naszej klasy — nie chodzi już kilka dni do szkoły, a że żadna jej bliżej nie zna, więc też niewiadomo ,co się z nią dzieje.

Zośka: Mnie się zdaje, że to nawet harcerka — widziałam raz krzyż u niej, ale jakoś nie było sposobności się zapytać.

Vera: Gadu, gadu, a przecież mamy sprzątać — otwórz no Zośka okno i daj szczotkę...

(Zośka przynosi z kąta szczotkę i ścierkę, otwiera okno i porządkuje książki i rzeczy na półce, Vera zamiata, przytem rozmawiają.)

Vera: Nie potrzebuję ci chyba mówić Zośka, jak lubię naszą Nikę — uważam ją za wzór harcerki i zastępowej.

Zośka: Chciałabym być do niej podobna, ale mi się to pewno nigdy nie uda...

Vera: No! Ty i Nika! ale ostatecznie staraj się — wszystko możliwe na tym świecie, jak mówi przysłowie. Ale coprawda teraz to mi się przypomina inne powiedzenie: że „i na słońcu są plamy".

Zośka: Cóż to znowu za przenośnia?

Vera: Bo widzisz, tak mi się zdaje, że Nika za wiele od nas wymaga; o nauce to nawet niema co mówić — musimy się uczyć i już — inaczej zaraz urlop, awantura — a to średnia przyjemność, nie móc przez miesiąc przyjść do izby ani na zbiórkę.

Zośka: Nawet nie gadaj o tem.

Vera: W szkole też musimy dawać dobry przykład.

(C. d. n.)

Pamiętajcie o konkursie,



który może Wam przynieść, jeden z 3-ch Kodaków, przeznaczonych do rozlosowania.

Dwa są warunki, aby wziąć udział w konkursie:

1) być prenumeratem „Na Tropie" (t. zn. mieć zapłacony przynajmniej I. kwartał 1932 roku);

2) zjednać nowego prenumerata, za którego należy wpłacić czekiem konkursowym, załączonym do poprzedniego numeru, całą należytość za rok 1932 w wysokości 6 złotych.

Na czeku należy podać swoje własne nazwisko i adres, oraz dokładny adres nowego prenumeratora.

Do losowania będą dopuszczeni prenumeratorzy, których czeki będą nosiły datę pieczątki pocztowej do dnia 25 stycznia włącznie. Losowanie odbędzie się w dniu 1-go lutego.

Czeki konkursowe można jeszcze otrzymać w Administracji „Na Tropie" po nadesłaniu znaczka poczt. za 10 groszy. Bliższe informacje znajdują się w numerze 19-tym (gwiazdkowym) ubiegłego roku.

Uszycie namiotu.

Dużą nieraz przeszkodą w urządzaniu dłuższych wycieczek jest brak odpowiednich namiotów. Wysoka cena gotowych namiotów wycieczkowych nie pozwala na zakupienie tychże, dlatego postaramy się sporządzić sobie taki namiot sami, to nie wielkim kosztem.

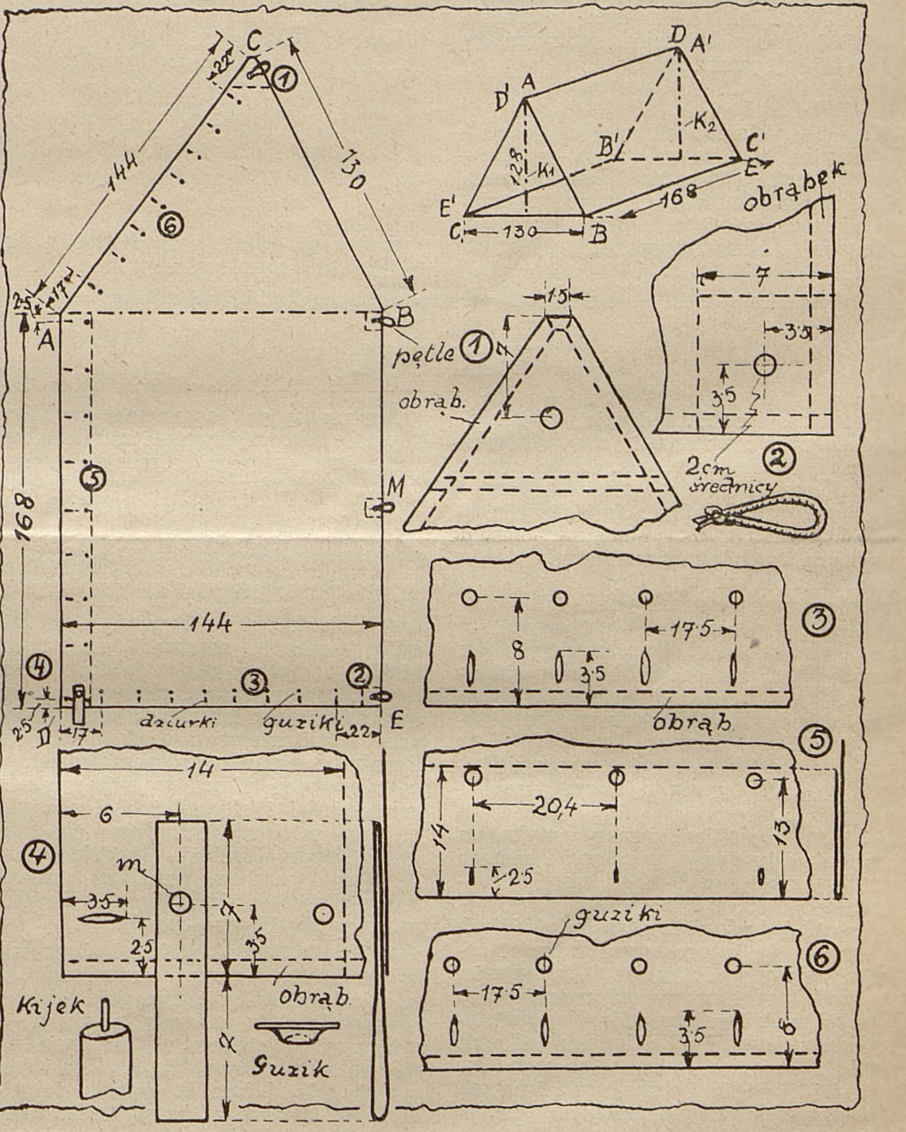
Namiot taki, pokazany na rysunku, składa się z dwu płacht, spinanych ze sobą, może on pomieścić *2* do *3* osoby; pozatem jest lekki i łatwy do postawienia. Uszycie takich płacht nie nastręczy też żadnych specjalnych trudności a uszyć je można na zwykłej domowej maszynie do szycia przy użyciu nieco grubszej igły. Jako materjału na namiot używamy niezbyt grubego płótna nieprzemakalnego, barwy popielatej lub bronzowej. Materjału na kompletny namiot potrzeba około 8 m², tj. okrągło 11.5 m. bież., o szerokości materjału 70 cm.

Pojedyńcza płachta składa się z prostokąta ABED i trójkąta ABC, które tworzą ze sobą jedną całość. Płachtę taką zgina się wzdłuż linji AB tak, że część trójkątna ABC tworzy przednią ścianę a część prostokątna ABED tworzy dach namiotu. Druga taka sama płachta, przeciwnie ułożona, — tworzy drugą część namiotu tak, że część trójkątna A'B'C' tworzy tylną część, zaś prostokątna A'B'E'D' drugi dach namiotu. Obydwie te części spina się zapomocą guzików wzdłuż boków AD z bokiem A'D' oraz wzdłuż linji AC z D'E' i A'C' z DE. Ściany trójkątne ABC i A'B'C' opadają do ziemi pod kątem prostym. Namiot ten opiera się na dwu drążkach K_1 i K_2, których metalowy koniec wchodzi w odpowiedni otwór obydwu płacht, lub też można zawiesić je na linie rozpiętej między drzewami a przewleczonej przez odpowiednie uszka (szczegół 4).

Samo uszycie nie sprawi żadnych trudności, jeśli tylko odpowiednie części zostały dokładnie przycięte. Na obrębek należy przeznaczyć wszędzie około 2 cm materjału. Poszczególne rysunki objaśniają odpowiednie części płachty namiotowej. Płachta namiotowa i jej szczegóły są narysowane tak, jakbyśmy patrzyli na prawą stronę płachty. Wszystkie wymiary podane w cm.

Szczegół 1 pokazuje zakończenie trójkąta w punkcie C. Należy podszyć ten koniec kawałkiem materjału, aby umocnić otwór, przez który przewleka się pętle sznurowe. Szczegół 2 odnosi się do narożników B i E oraz M, które trzeba podobnie podszyć. Pętle mają wystawać po prawej stronie płachty (jak na rysunku) a węzeł zakończający ma być pod spodem. Szczegół 4 odnosi się do narożnika D i wyjaśnia sposób przyszycia pętli do przewleczenia liny dla utrzymania namiotu zamiast drążków, względnie służących do usztywnienia namiotów zapomocą linek. Szczegóły 3, 5, 6, odnoszące się do odpowiednio oznaczonych boków, objaśniają sposób umieszczenia dziurek i guzików. Odległości pierwszych i ostatnich dziurek i guzików są podane na głównym rysunku. Wzdłuż boku AD należy zrobić dużą zakładkę (obrąbek), szerokości 14 cm, jak to zresztą pokazano na szczególe 4. Wszystkie guziki oznaczone na rysunku, mają być przyszyte po przeciwnej (lewej) stronie płachty, tzn. pod spodem. Najodpowiedniejsze są guziki jak pokazano na rysunku, gdyż dobrze i łatwo się zapinają; płaskie są gorsze. Dziurki należy wpierw dobrze odmierzyć, oznaczyć kredą i sprawdzić zanim się je wytnie, czy się zgadzają z odpowiedniemi guzikami. Dziurki muszą być dobrze obdziergane, by się nie strzępiły i nie przerwały. Otwory na pętle i na drążki (m) najlepiej dać do szewca dla nabicia metalowych kapsli, lub dobrze obdziergać.

Jak widać z powyższego, uszycie takiego namiotu wycieczkowego nie jest rzeczą trudną, a po uszyciu go nie tylko będziemy mogli urządzać częściej dalsze wycieczki z nocowaniem, ale odczujemy duże zadowolenie z pokonania trudności.



KIERMASZ odbył się w Warszawie w początkach grudnia, zorganizowany przez Z. O. Warszawskiego. Kiermasz połączony był z wystawą artystycznych prac kobiet i ściągnął liczne rzesze gości. Była na nim również obecna p. Marszałkowa Piłsudska, która specjalnie zainteresowała się pismem harc. pt. „Skrzydła".

„DWOREK CISOWY" gościł w ubiegłym miesiącu druha Przewodniczącego, który zwiedził dokładnie wszystkie trzy budynki, wypytując się z zainteresowaniem o pracę, prowadzoną na terenie Dworku. Druhowi Przewodniczącemu towarzyszyły: Naczelniczka Harcerek, dhna Wierzbiańska i Komendantka Chorągwi Kieleckiej, Łapińska.

AKADEMICKIE KOŁO HARCERSKIE urządziło w dzień przed wigilją, wieczorynkę dla dzieci Wesołego Miasteczka. Dnia 23 bm. wieczorem odbyła się najpierw wilja dla dziewcząt a potem dla chłopców, na której dzieci zostały obdarzone ubraniami i słodyczami.

XIII. POZN. ŻEŃSKA DRUŻYNA HARCERSKA urządziła wigilję dla jednej biednej rodziny. Zastępy przygotowały pieczywo, orzechy, słodycze, węgiel i podarki w postaci ubrań i rzeczy pożytecznych.

POZNAŃSKI ŻEŃSKI HUFIEC współpracował przy gwiazdce dla więźniów, odbywających swą karę w tutejszym więzieniu. Niektóre drużyny przyłączyły się do akcji „Caritasu" i innych instytucyj dobroczynnych.

Na Tropie Zuchów.

Gry pokojowe zuchów angielskich.

1. Kolory.

Gromadę dzieli się na dwie partie, numerując każdego zucha od 1 do 7, 8, 9 — stownie do ilości zuchów. Każdy zuch otrzymuje po 8 lub więcej kartek w różnych kolorach (wymiar kartek — 2½×1). Następnie wywołuje się jakiś przedmiot z otoczenia, a zuchy z obu partyj oznaczone numerem „1", starają się, uprzedzając przeciwnika, podnieść kartkę w kolorze, właściwym danemu przedmiotowi. Przy następn. przedmiocie czynią to zuchy Nr. 2 itd. Zuch, który pierwszy podniesie właściwy kolor, zdobywa dla swojej partji punkt.

2. Kupcy.

Gra się tak samo jak w „Kolory", tylko zamiast kartek kolorowych trzeba rozdać kartki z nazwami sklepów (nprz. piekarz, rzeźnik etc.). Następnie wymienia się przedmioty nabywane w tych sklepach, a dzieci podnoszą właściwe kartki.

3. Nakrywanie do stołu.

Gra polega na współzawodnictwie między szóstkami. Każdy zuch trzyma w pogotowiu ołówek i kartkę. Prowadzący grę rozkazuje: „Nakryć stół do śniadania (lub obiadu, lub kolacji) na jedną osobę (lub 2, 3)". Na to hasło szóstki, po krótkiej naradzie, dzielą się nakryciem i każdy zuch rysuje przedmiot (lub przedmioty), jakie na niego wypadły. Wygrywa szóstka, która najlepiej nakryje do stołu.



Głowa Indjanina, narysowana przez Romka Zawadowskiego (lat 9).

4. Podaj dalej!

Są to zawody między partjami. Każda z partyj staje w rzędzie, z szóstkowymi na czele. Szóstkowi dostają cztery lub więcej przedmiotów, które, na dany znak, podają swej partji wzdłuż rzędu. Ostatni zuch, otrzymawszy przedmiot, kładzie go na podłodze. Po otrzymaniu ostatniego przedmiotu, podaje wszystkie przedmioty z powrotem, **zachowując kolejność, w jakiej je otrzymywał.** Wygrywa partja, która najpierw i najprawidłowiej wykonała grę.

5. Węzeł.

Zuchy stoją w kole, podając sobie prędko z rąk do rąk kawałek sznura. W środku koła znajduje się wódz gromady, który co pewien czas klaska w dłoń. W chwili klaśnięcia, zuch, który trzyma sznur, musi szybko zawiązać węzeł (nprz. płaski). Jeżeli zdąży w ciągu najwyżej dwudziestu sekund (wódz głośno liczy) — zdobywa punkt.

C. d. n.

Psinul.

Bronek był zuchem drugiej gwiazdki, posiadaczem sprawności, majsterklepki, pana Twardowskiego, przyjaciela zwierząt domowych oraz właścicielem młodego psa owczarskiego. Najważniejszym był pies. Bo zuchów drugiej gwiazdki i posiadaczy kilku sprawności, było w gromadzie Kogutów wielu, ale psa miał tylko jeden Bronek. I gdzie tylko zjawiał się Bronek, zawsze biegł przed nim, wesoło merdając ogonem, owczarek, jak herold przed rycerzem. Wszyscy chłopcy, zuchy i niezuchy, zazdrościli Bronkowi owczarka, a Bronek nadymał policzki i mówił czasami:

— Phi, każdy może mieć swojego Psinula, tylko żeby mu w domu pozwolili trzymać.

„Psinul" było imieniem owczarka, a inię to też gniewało kolegów. Dlaczego nie Rex, nie Azor, a jakoś tak głupio — Psinul?

Bronek jednak nie słuchał koleżeńskich wyrzutów i nie przezywał Psinula żadnem ważnem imieniem. Zastanawiał się tylko bardzo często nad wymyśleniem jakichś sztuk i zabaw, których należałoby nauczyć psa. Bo każdy pies coś umie robić, a Psinul — nic. Więc uczył go siadać i kłaść się i dawać łapę i pełzać, ale wszystko to było mało ciekawe.

Raz, kiedy był z Psinulem na spacerze, wynalazł mimowoli nowe ćwiczenie. Gdy pies pobiegł sobie trochę dalej naprzód, Bronek schował się za węgieł domu i obserwował go z ukrycia. Pies, spostrzegłszy, że pan jego gdzieś zniknął, zaczął niespokojnie biegać po ulicy i szukać chłopca. A gdy go znalazł za węgłem, skomlił z radości i skakał do twarzy Bronka, a Bronek nie mniej od Psinula cieszył się z nowej zabawy.

Od tego czasu pies i zuch ciągle bawili się w chowanego. Gdy szli razem na zbiórkę, gdy Psinul odprowadzał Bronka do szkoły, gdy razem biegli wysłani przez matkę po sprawunki do sklepików, Bronek raptownie i niespodziewanie znikał w jakiejś bramie, wbiegał gdzieś na schody lub przykucał za drzewem, a pies niespokojnie i szybko obwąchując ziemię, tropił swego małego pana.

Trudniej było, ale zato ciekawiej, bawić się w tę zabawę w lesie. Do lasu brał Bronek oprócz Psinula kilku kolegów. Kolegom zostawiał psa, a sam biegł i chował się gdzieś daleko za krzakami. Na dany sygnał chłopcy puszczali owczarka, a ten jak strzała wiał z nosem przy ziemi, szukając węchem ukrytego Bronka. I nietylko szóstka Bronka, ale cała gromada Kogutów dziwowała się roztropności i chytrości psa. Najgłośniej zaś ze wszystkich dziwił się szóstkowy szóstki Wróbli — Franek Kloc.

Jednego razu na zbiórce gromady wódz Kogutów druh Antoni Cwańkiewicz wygłosił taką mowę:

— Koguty! Jak kto chce być prawdziwym zuchem, to musi przynajmniej raz w życiu zabawić się w wojnę. I właśnie wymyśliłem dla naszej gromady wojnę. Wszyscy podzielimy się na dwie partje. Jedna partja pójdzie do lasu i schowa się gdzieś, hen, w ukryciu, żeby jej nikt nie dojrzał, a druga partja będzie musiała wytropić tych, co się schowali. I każdy jeden zuch będzie musiał nazbierać dużo szyszek do kieszeni. A jak się partje spotkają, to będą w siebie walić i będzie wojna.

Bronek ze swoją szóstką znalazł się w partji ukrywającej się, a Franek Kloc, ten, co się najwięcej dziwował sztukom Psinula, — w partji szukającej. Partja Bronka zebrała się najbliższej niedzieli bardzo wcześnie w izbie harcerskiej i, gdy jeszcze całe miasteczko spało, — wyruszyła do lasu, żeby się dobrze ukryć od wrogów. Wyruszyła — i znikła za zakrętem drogi.

Druga partja zbierała się tymczasem na podwórku mieszkania wodza gromady i, oczekując niecierpliwie na swoją godzinę wyruszenia — gwarzyła podniecona.

— O jej, najtrudniej to znaleźć! Bo wojować szyszkami to uciecha!

— I jak my ich wytropimy! Las taki wielki i tyle w nim okopów po wojnie. Wszędzie łatwo się schować.

— Żeby przynajmniej przed obiadem znaleźć.

Nagle Franek Kloc, który stał dotychczas zasępiony koło śmietnika, zaczął podskakiwać do góry i drzeć się na całe gardło:

— Chłopaki! Wymyśliłem, wymyśliłem!!

— Warjacie — uciszył go Wódz — lokatorów pobudzisz!

— Wymyśliłem, wymyśliłem — piszczał radośnie Franek. Weźmiemy z sobą Psinula i ten w lesie odrazu zaprowadzi nas do Bronka.

Myśl była olśniewająca. Więc nie namyślając się długo wysłano delegację do matki Bronka po psa.

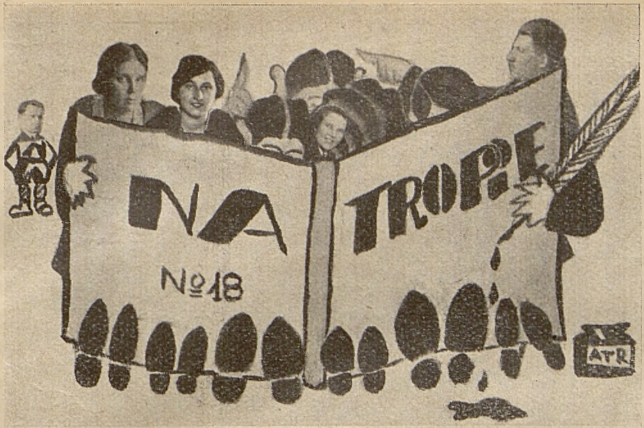
— Psze pani — tłumaczyła delegacja — my tylko na chwileczkę pożyczymy Psinula. Będzie wesoła zabawa. Ale mu nic nie zrobimy. Na chwileczkę.

I gdy przyszła odpowiednia godzina, cała partja popędziła z Psinulem na sznurze, do izby harcerskiej, a stąd drogą polną do lasu.

— Szukaj, szukaj — zachęcali wszyscy Psinula. A owczarek utkwił nos w ziemię i biegał niespokojnie po całej drodze i rowach przydrożnych, nie rozumiejąc, czego od niego chciano. Ale gdy wpadł mu w nos odurzający zapach Pana, zesztywniał na sekundę, a potem szarpnął mocno sznurem i ciągnąc począł tak mocno do lasu, że chłopcy ledwo nadążyć mogli, a linka naciągnięta była jak struna!

— Jest, jest! Znajdzie! Prędzej, prędzej — krzyczeli wszyscy uradowani.

(Ciąg dalszy na str. 11.)



Rozwiązanie konkursu z Nr. 19.

Obok reprodukujemy rozwiązanie konkursu dhny Siedleckiej z Krakowa, która otrzymała pierwszą nagrodę:

„Janek zobaczył szanowną Redakcję „Na Tropie“, opracowywującą nowy numer pisma. Przejął się bardzo tym widokiem, bo niebyle to zaszczyt. Że zaś chwycił się aż za głowę, to zapewne dlatego, że w razach dużej emocji miał taki zwyczaj.“

Kilka słów o nartach.

Dla nas — mieszkańców Polski — gdzie zima jest stosunkowo niesroga, narty służą prawie wyłącznie celom sportowym. W śnieżystych natomiast i mroźnych krainach północnych narty mają duże zastosowanie w życiu codziennem, a od najdawniejszych nawet czasów używane były do celów wojennych. Już wojowniczy król Svenne miał w roku 1200 oddział narciarzy. „Svenne Saga“ opowiada nam, jak w bitwie pod Oslo, Paweł Belte wyprowadził na rozkaz tego monarchy swoich towarzyszy-narciarzy, aby ze szczytów gór śledzić siły nieprzyjacielskie.

Dzieje nowożytne przynoszą nam daleko więcej wiadomości o zastosowaniu nart w sztuce wojennej. Wiemy z nich, że Gustaw Adolf i Karol Wielki posługiwali się chętnie narciarzami w służbie wywiadowczej. W r. 1717 powstały w armji norweskiej stałe dwa oddziały narciarskie. W roku 1774 ukazał się nawet regulamin narciarski, w wojnie szwedzko-norweskiej w r. 1808 walczyło po stronie norweskiej dwa tysiące narciarzy.

Jeśli chodzi o rolę, jaką mogą odegrać narciarze w nowoczesnej sztuce wojennej, to zgóry wykluczyć należy możność walki wzajemnej całych pułków. Narciarze używani są jedynie do służby wywiadowczej. Nabierają oni pierwszorzędnego znaczenia wówczas, gdy konnica, czy piechota z powodu głębokich śniegów staje się bezużyteczna. W zrozumieniu doniosłości wojskowej służby narciarskiej współczesne armje szkolą specjalne oddziały narciarskie. Nie brak ich i w wojsku polskiem.

Jerzy Zubek, Warszawa.

Kultura fizyczna.

Na zbiórce zastępu.

— Ho, ho! Dziś pokażę wam takie ćwiczenie, że nikt go nie zrobi, choć jest bardzo łatwe! — mówi Olek i uśmiecha się jak zwykle tym swoim dobrym, pogodnym uśmiechem, który jedna mu sympatję każdego, z kim rozmawia.

— Bardzo lubię twoje ćwiczenia zręcznościowe. Cóż dziś nam pokażesz? — pyta Franek.

— Czekaj, czekaj, nie bądź taki gorący.... No, bracia skauci, spróbujcie stanąć na prawej nodze... dobrze, tak! teraz prawą ręką schwyćcie palce lewej nogi... nie, nie — trzeba lewą nogę podnieść i dopiero w powietrzu ją trzymać... dobrze! A teraz spróbujcie przeskoczyć nogą prawą przez lewą. Pochylać się można, nie wolno tylko lewą nogą dotykać podłogi, trzeba przeskoczyć.

Nie powiem Wam, Czytelnicy, co się dalej działo, bo tam nie byłem, lecz gdy tylko spotkam się z jakimś harcerzem, zaraz mu zaproponuję wykonanie tego ćwiczenia.

— Teraz inne! — Znów proponuje Olek. — Masz, Felku, laskę? Daj, kochanie, to spróbujemy z innej beczki. No, kto na ochotnika??

— Ja, ja! — wyrwał się pierwszy Stach.

— Doskonale. Tak. Weź laskę pod kolana, ale domyśl się, że przedtem trzeba klęknąć... przełóż teraz ręce między kolanami i schwyć oburącz laskę — a teraz masz tu jabłko! — podszedł do klęczącego Stacha i o pół metra od niego położył na podłodze przyobiecany owoc — no i możesz zjeść je, ale pod warunkiem, że podniesiesz je klęcząc i nie wypuszczając laski z pod kolan.

— Na zakończenie dzisiejszej zbiórki zrobimy małe zawody.

— Co — w pokoju? — pyta Władek.

— A może chcesz iść w taką pluchę na wycieczkę, co?? — ironicznie zapytał Jaś.

— Ty mylisz, że nie poszedłbym?

I napewno zaczęliby się kłócić, gdyby nie to, że Olek już przygotował ćwiczenie i zapraszał ich do wzięcia udziału.

Wbił mianowicie nóż w odrzwia na wysokość własnych ócz, odszedł krok do tyłu i nogą starał się ten nóż zrzucić. Po kilku ruchach udało mu się to. Również Stachowi, Felkowi i innym poszło ćwiczenie łatwo, tylko grubas Bronek nie mógł tego zrobić. W drugiej kolejce podnieśli nóż na wysokość głowy (odpadł Jaś); w trzeciej — do wysokości wyciągniętego łokcia, a wreszcie jeszcze wyżej, aż zwyciężył w końcu Wicek.

— Naprawdę morowe są jego ćwiczenia. Zawsze coś bestja wymyśli — mówił Franek, ściskając na pożegnanie rękę Wicka.

Zwinny Tur.

Psinul.

(Dok. ze str. 10.)

Pies pędził jak szalony, a zanim partja. rzez górki, mostki, łąki, koło gajówki i szkółki sosnowej... Minęli okop i drugi, minęli jezioro i strzaskany dąb i niespodziewanie dla samych siebie ujrzeli w krzakach wielkiego jałowca zajadającą śniadanie partję Bronka.

Ogromne zdumienie bronkowej partji przerwały zwycięskie wrzaski „hurra“! i napastnicy jak burza rzucili się na śniadających wrogów a grad szyszek zafurkotał w powietrzu. Jeszcze chwila, a bronkowe zuchy zaczną umykać, jak myszy przed kotem, gdy wtem...

Wtem stała się rzecz zupełnie nieoczekiwana. Psinul, który wyrwał linkę z rąk Franka i skakał radośnie do twarzy Bronka, widząc przerażenie Pana i wojownicze krzyki napastników, skurczył się niespokojnie przy ziemi i, czujnie nastawiwszy uszu, obserwował walkę. A gdy spostrzegł, że kilka szyszek uderzyło jego Pana i że ten coś krzyczy przestraszonym głosem, — wstał powoli i szczerząc kły, posuwać się zaczął na sztywnych nogach do nadbiegających napastników.

Obie partje przestały krzyczeć i walić szyszkami. Ze zdumieniem patrzono na dziwnie zmienionego psa. Ten zaś wciąż szedł powoli naprzód, tylko sierść na grzbiecie zaczęła mu się jeżyć, a z gardła wydzierać się począł głuchy warkot.

Jeszcze chwila — a przestraszeni chłopcy z partji Franka cofać się zaczęli przed strasznym psem, zaś sam Franek krzyknął przestraszony.

— Bronek! Chwyć sznur.

Teraz i Bronek oprzytomniał. Przyciągnął psa do siebie, tulić go począł, głaskać i uspokajać, a słysząc narzekania i sarkania Frankowych zuchów, śmiał się w duszy z nieudanego podstępu i uradowany podsuwał psu pod sam nos smacznie posmarowany masłem kawałek chleba.

Napad się nie udał. A. K.

20-LETNIĄ ROCZNICĘ powstania harcerstwa w Wilnie Z. O. postanowił uczcić przez wydanie Księgi pamiątkowej, oraz przez zorganizowanie muzeum harcerskiego. Wszyscy, którzy posiadają jakieś pamiątki, względnie mogliby udzielić informacyj o pracy harcerskiej z okresu pierwszego dziesięciolecia jej istnienia na ziemiach wschodnich, proszeni są o przesłanie swojego adresu do Zarządu Oddziału Z. H. P., Wilno, Pałac Reprezentacyjny Rzplitej.

Harcerski regulamin flagowy.

(Dokończenie.)

6. Salutowanie.

Pozdrawianie się jachtów między sobą, oraz salutowanie Bandery statków wojennych polskich i państw zaprzyjaźnionych odbywa się przez spuszczenie Bandery do połowy masztu i podniesienie jej z powrotem.

Na odległości większej niż 2 mile morskie nie pozdrawia się.

Przepływając około eskadry salu uje się tylko okręt admiralski. Jacht mniejszy wyprzedzający, wchodzący do portu — pozdrawia pierwszy.

Przed najwyższym dostojnikiem kraju przejeżdża jacht ze spuszczoną do połowy masztu Banderą, a załoga oddaje honory stojąc na baczność i salutując.

Załogi harcerskie pozdrawiają się według starszeństwa osób, znajdujących się na pokładzie lub łodzi. Rozpoznaje się według proporczyków osobistych. Załoga płynąca pod proporcem pierwsza salutuje łódź idącą pod Banderą.

Załogi kajakowe pozdrawiają się przez podniesienie ręki lub salutowanie. Załogi męskie pierwsze pozdrawiają żeńskie lub mieszane.

Pozdrowienie jest grzecznością, nieodpowiadanie na ukłon źle świadczy o dobrem wychowaniu witanej załogi.

7. Proporczyki osobiste harcerzy.

Harcerski proporczyk osobisty służy do podnoszenia na salingi masztów w celu sygnalizowania stanowiska służbowego w Z. H. P. osoby przebywającej w obozie, jachcie, przystani, oraz do orjentowania się poszczególnych jednostek w czasie ćwiczeń zbiorowych.

Harcerski proporczyk osobisty jest w kształcie trójkąta o stosunku boków jak 3:5. Zasadniczy kolor biały z czerwoną liljką i języczkiem według znaczenia podanego na rys. 3.

Ustala się dwa zasadnicze wymiary proporczyków:

1. Zwykłe 0.5 $\times$0.3 m.
2. Małe 0.25$\times$0.15 m.

Proporczyki powyższe wywiesza się natychmiast po zameldowaniu się lub w czasie meldowania się (jeśli jest więcej niż jedna osoba) podkomendnego (wizytacja, przeglądy i t. p.), oraz w czasie zbiorowych ćwiczeń, spływów i t. p.

Jeśli maszt łodzi salingu nie posiada, proporczyk podciąga się na top masztu. Na każdym maszcie może powiewać tylko jeden proporczyk osobisty, osoby najstarszej stanowiskiem w Z. H. P.

Na małych łodziach żaglowych, kanadyjkach i kajakach proporczyki osobiste wywiesza się pod proporcem harcerskim, zaś na łodziach wiosłowych na dziobie na specjalnym flagsztoku.

Rzeczy ciekawe.

Wyścigi zaprzęgów psów na Olimpjadzie.

Na skutek gorącego apelu Amerykańskiego Komitetu Olimpijskiego, zachęcającego do wzięcia udziału w zimowych Igrzyskach Olimpjady, Eskimosi zwrócili się do komitetu z prośbą o włączenie do programu Igrzysk wyścigu zaprzęgów psów. Komitet zastosował się do prośby przedstawicieli Eskimosów i w Lake Placid, po raz pierwszy w dziejach Olimpjad, odbędzie się wyścig zaprzęgów psów na trasie 25 km. Wyścig ten odbędzie się dnia 6 lutego, w trzecim dniu Olimpjady.

*

Odkrycie ruin Sodomy i Gomory.

Ostatnie odkrycia archeologiczne w okolicach Morza Martwego potwierdzają całkowicie opowiadania biblijne o zniszczeniu Sodomy i Gomory przez ogień. Dotychczas odsłonięto przeszło czterdzieści morgów ruin po północnej stronie Morza Martwego w odległości około 5 km. od Jordanu i stwierdzono, że wszystkie fundamenty domów pokryte są warstwą popiołu. Tak więc poprzednie przypuszczenia uczonych, że miasta te uległy zagładzie przez powódź — okazały się mylnemi.

Prenumerata „Na Tropie": z przesyłką pocztową rocznie 6 zł., półrocznie 3 zł., kwartalnie 1,80 zł., miesięcznie 80 gr. Cena numeru 40 groszy. Należytość za prenumeratę należy uiszczać z góry. W braku pisemnego odwołania prenumerata obowiązuje nadal. W sprawie ogłoszeń należy zwracać się do Administracji. **Adres Redakcji i Administracji: Katowice, ul. Szafranka „Domek Harcerski". Konto w P. K. O. Katowice Nr. 305 330.**

Wydawca: Zarząd Oddziału Śląskiego Związku Harcerstwa Polskiego. Redaktor odpow.: Henryk Kapiszewski.
Odbito w Drukarni Śląskiej Sp. z o. o., Katowice, narożnik ul. Batorego 2 i ul. Kościuszki nr. 15.

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.